EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Szlif

Nr 8 (125)
listopad
2014

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Język ojczysty – ważna rzecz

Pomyłki zdarzają się każdemu z nas. Powszechnie wiadomo, że język polski jest trudny, a poprawne posługiwanie się nim sprawia kłopoty nawet Polakowi z krwi i kości. W naszej mowie ojczystej istnieje cała gama błędów językowych, których klasyfikacja niejednego może przyprawić o zawrót głowy.

Przejęzyczenie to jedna sprawa, ale niewystarczające zgłębienie informacji na temat, o którym mamy się wypowiadać czy rażące błędy ortograficzne to niedopuszczalne... NIECHLUJSTWO!

Język polski, według danych z 2013 roku, uplasował się na pierwszej pozycji rankingu najbardziej wymagających w procesie nauczania. Ze stopniem trudności ocenionym na „ekstremalny", brawurowo wyprzedził mowę Chińczyków, Koreańczyków czy Arabów. Rankingi rankingami, polszczyzna może i skomplikowana, ale przecież jakoś komunikować się trzeba. No właśnie – jakoś.

Jednym z elementów wpływających na kreację naszego wizerunku wśród odbiorców jest sposób wypowiadania się. Problem pojawia się w momencie, w którym coraz częściej forma znacząco zaczyna dominować nad treścią. Najbardziej w pamięć zapadają nam błędy rozpoznawanych osób ze świata show-biznesu czy celebrytów, ale zdecydowanie największą kopalnią „złotych myśli" i wpadek językowych jest polski parlament!

Chamstwo i prostactwo to określenia, z których słyną wypowiedzi najwyżej postawionych głów w naszym państwie. Wandzie Nowickiej zdarzyło się w przeszłości dziękować kapitanowi Sowie, zamiast Wronie (pilot znany z brawurowego awaryjnego lądowania boeingiem 767 ze schowanym podwoziem), ekscentryczna posłanka PiS Krystyna Pawłowicz zawsze w niewybredny sposób wyraża swoje stanowisko, ostatnimi czasy wywołując kontrowersje wokół swojej osoby nieprzychylnymi (mało powiedziane!) wypowiedziami na temat Anny Grodzkiej („No, jaka pani, no twarz boksera"). Swego czasu nawet Jarosław Kaczyński, zasiadając na stołku Prezesa Rady Ministrów, dziękował za „obiat" we wpisie do księgi gości pewnej restauracji.

– Uważam, że politycy, jako osoby publiczne, szczególnie powinni zwracać uwagę na to, co i w jaki sposób robią. Mają chyba świadomość tego, że są znani w całym kraju i nieprzyzwoite zachowanie, które zwykłemu obywatelowi często ujdzie płazem, im po prostu nie przystoi – mówi Justyna Strzebak, uczennica Liceum Ogólnokształcącego nr XIII we Wrocławiu.

Rzeczywiście, trudno się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. Są pewne reguły, do których chcąc nie chcąc ludzie reprezentujący nas nie tylko w kraju, ale także na arenie międzynarodowej, powinni się stosować.

Tymczasem prawdziwą wisienką na torcie są wypowiedzi naszego prezydenta Bronisława Komorowskiego. Wszyscy chyba pamiętają słynny duet „bulu" i „nadzieji" z księgi kondolencyjnej w ambasadzie Japonii. Na tym głowa III RP nie poprzestała. Potem były jeszcze pomyłki historyczne (Konstytucja 3 maja *drugą* ustawą zasadniczą w Europie), błędy w nazwiskach (Wisława *Czymborska*) lub nieumyślne (a przynajmniej tak wolelibyśmy je traktować) pomyłki w rodzaju: „Nie zamierzam startować w *dyktancie* ortograficznym w Polsce". Do najświeższych wpadek pana prezydenta niewątpliwie należy wystąpienie w katowickim Spodku, mekce polskiej siatkówki. Po zakończeniu meczu finałowego Komorowski w wywiadzie z jedną ze stacji pozdrowił polskich *piłkarzy* (to jeszcze można wybaczyć, opierając się na definicji ze strony wikipedia.pl, która mówi: „Piłkarz – sportowiec uprawiający piłkę nożną (futbolista), ręczną (szczypiornista), wodną (waterpolista), siatkówkę (siatkarz)"), a potem podziękował za odkodowanie transmisji zmagań naszych złotych medalistów właścicielowi owej telewizji *Piotrowi* Solorzowi-Żakowi, który w rzeczywistości ma na imię Zygmunt. Ale kto by tam dbał o szczegóły...

Kompromitacje przytrafiają się nie tylko politykom odpowiadającym na pytania zadawane przez media, ale i samym prezenterom czy dziennikarzom programów informacyjnych. Tak się czasem zdarza, że „szyny były złe, a podwozie też było złe" albo dla odmiany „w ciągu minety ginie niemal sześćdziesiąt osób".

– Błędy w ustnych czy pisemnych wypowiedziach polityków potrafią dzisiaj bardzo szybko obiec wszystkie środki masowego przekazu. Do tego już się przyzwyczaiłam. Natomiast absolutną nowością, podczas relacji z odbywających się niedawno w Polsce siatkarskich mistrzostw świata, było podawanie do wiadomości odbiorców przez telewizję TVN24, że libero naszej reprezentacji nazywa się „Mateusz Wlazły" – śmieje się Julia Płotek, uczennica wrocławskiej „trzynastki". – Kogoś takiego jak ów Mateusz Wlazły w naszej kadrze w ogóle nie ma. Jest wprawdzie przyjmujący Mateusz Mika oraz atakujący Mariusz Wlazły, ale nasz libero to Paweł Zatorski – wyjaśnia.

Tak właśnie wygląda nasza rzeczywistość. Dlatego osobiście zwracam się do posłów, senatorów, ministrów, a nawet samego prezydenta, aby brali przykład z byłego już premiera Donalda Tuska! Ten, zostawszy szefem Rady Europejskiej, już na pierwszej konferencji prasowej zapowiedział: „I will polish my English" (pol. Będę szlifował mój angielski). Natomiast szanownym przedstawicielom kraju i mediom proponuję doszlifować język polski, bo to na pełnionych stanowiskach umiejętność elementarna!

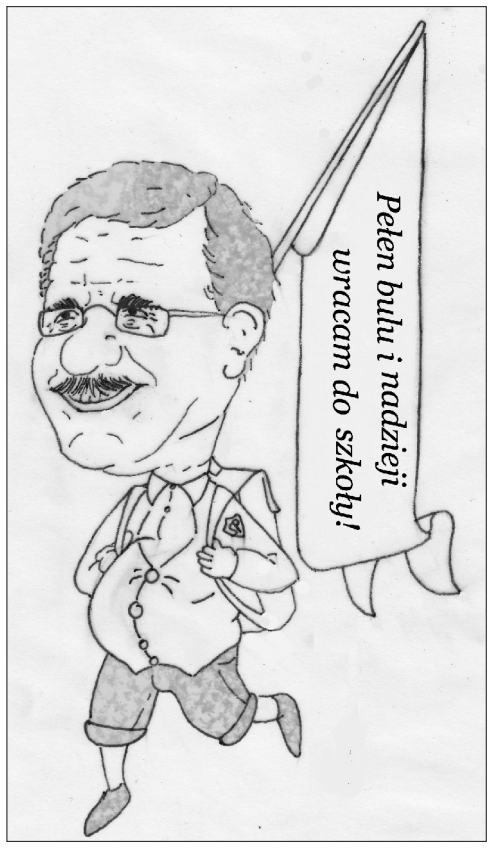

Rys. Oktawian Jurczykowski

PAULINA KUBERA
paulinakubera@interia.eu

Należy to uczcić!

Długo wyczekiwany dzień nadszedł. Teraz wszystko się zmieni, świat stanie przed nami otworem – wkraczamy w dorosłość. Mamy osiemnaście lat. Trzeba coś zorganizować! Najlepiej, aby przyjęcie urodzinowe zapadło wszystkim w pamięć na bardzo, bardzo długo... Może by tak narzucić temat imprezy lub wymyślić coś innego niż zwykłe świętowanie w klubie?

– Byłam na kilku przyjęciach urodzinowych, które miały motyw przewodni. Raz, na przykład, wszyscy nosili śmieszne nakrycia głowy, takie jak pieczony, pluszowy kurczak, piracka czapka czy nawet garnek – wspomina Katarzyna Jura. – Taką imprezę lepiej się zapamiętuje.

Lecz aby pomysł bawił, cieszył i wbił się mocno do głowy, potrzeba kreatywności. Wszystko może się znudzić, jeśli każdy będzie planował to samo.

– Ludzie wybierają prawie zawsze jakieś lata, najczęściej osiemdziesiąte i dwudzieste, bo to najłatwiejsze, a tu chodzi przecież o wyjątkowość imprezy – stwierdza Marta Namyślak, która swoje urodziny urządziła w stylu black & white.

Fot. Agata Ziobro

– Wiadomo, że nie każdemu podoba się taka idea, ale najważniejsza jest dobra zabawa. O swojej osiemnastce jeszcze nie myślałam, ale kto wie? Może spróbuję coś takiego zorganizować – uśmiecha się Bernadetta Semczuk. – Wyobraź sobie zdjęcia z takiego przyjęcia!

Co prawda, to prawda. Fotografia Brada Pitta siedzącego między Pocahontas i Kubusiem Puchatkiem mogłaby być naprawdę ciekawa.

Jakiś inny pomysł?

– Koleżanka nie miała jak zrobić u siebie imprezy. Zaprosiła nas tylko na torcik i mały poczęstunek. Wieczorem wybrała się z chłopakiem na spacer, który na chwilkę musiał wpaść do znajomego, niby w jakiejś ważnej sprawie... Czekaliśmy tam na nią z tortem, balonami i jedzeniem. Była w szoku – opowiada Justyna Fryc. – To najlepszy prezent, jaki mogliśmy jej dać. Wszyscy się bardzo zaangażowaliśmy, by mogła fajnie przeżyć swoją osiemnastkę.

Pomysłów na świętowanie jest mnóstwo i chociaż realizacja zawsze wiąże się z kosztami, to pomysłowa osoba potrafiłaby wymyślić coś w granicach nieprzekraczających tysiąca złotych.

– Planujemy wynająć tramwaj na urodziny naszej przyjaciółki i wiem, że będziemy fantastycznie się bawić! Już jedną taką imprezę mam za sobą i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że to duże przeżycie, ogromny szok i radość dla solenizanta – zwierza się Monika, której nazwiska nie podaję, by przypadkiem nie zepsuć niespodzianki.

Ludzie, spędźmy wraz ze znajomymi ten ważny w naszym życiu dzień przy trwającym całą noc ognisku, na paintballu, sali zabaw, bo to przecież ostatni dzwonek na bycie dziecinnym, a nie samotnie w cichej kawiarni lub na obiadku rodzinnym. Na takie świętowanie mamy jeszcze niejedne urodziny, a tak symboliczne jak osiemnastka już się nie powtórzą!

MONIKA ŚWIĄTEK
msbunia@interia.pl

Okiem Recenzenta

Fantastyka dla (nie)trzeźwych

Cykl KRONIKI JAKUBA WĘDROWYCZA to prawdziwy rarytas dla smakoszy polskiej fantastyki oraz mocnych trunków.

Polscy pisarze zwykli unikać scenografii kraju ojczystego. Andrzej Pilipiuk niewątpliwie jest z rodzaju chlubnych wyjątków, którzy nie przestraszyli się tej konfrontacji. W kronikach lądujemy w Wojsławicach, rodzinnej miejscowości autora jak i naszego tytułowego bohatera. Cała akcja podzielona jest na piętnaście opowiadań, które odgrywają się w latach dziewięćdziesiątych.

Cykl, zamykający się w siedmiu tomach, opowiada o przeróżnych przygodach egzorcysty, niewątpliwie filozofa, chwilami oscylującego w stronę menela, dziwaka i prawdziwego geniusza – Jakuba Wędrowycza. W przerwach od ciężkiej pracy, jaką jest uganianie się za duchami, wampirami jak i uświadamianie Leninowi, że naprawdę umarł, pędzi prawdziwe wiejskie życie i swojski bimber w zaciszu swojej chatki, a towarzystwa dotrzymuje mu jego przyjaciel, Rosjanin Semen.

Po raz pierwszy zetknęłam się z tą serią dzięki mojemu bratu (i chwała mu za to). Sam fakt, że z własnej woli sięgnął po książkę, wprowadził mnie w tak ogromne niedowierzanie, że postanowiłam wgłębić się w historię, która pochłonęła go bez reszty.

Staruszek zbliżający się do swoich setnych urodzin, choć dokładny wiek jego nie jest znany, błyskotliwy przy rozwiązywaniu problemów natury paranormalnej, choć nieraz posądzany przez wiejską społeczność o demencję lub bliżej prawdy delirium alkoholowe, właściciel najstarszych gumofilców i chyba równie starego arsenału broni zakopanego w ogródku, to sukces i fenomen popularności Andrzeja Pilipiuka. Cięty język i dosadność głównego bohatera zdumiewa, bawi, nieraz gorszy, ale na pewno nie pozwala czytelnikowi choćby na chwilę sądzić, że poznał w pełni Jakuba W. Humor to największa zaleta, ale i wada „Kronik Jakuba Wędrowycza", bo jak wiemy, jego poczucie to rzecz nierówna i nie każdemu musi przypaść do gustu to samo.

Jednak czy warto przeczytać? Warto! W końcu własny smak najlepiej wyrabia się, kosztując wszystkiego samemu i stwierdzając, co najbardziej łechce nasze kubki. Moje zdecydowanie odnalazły w tym szaleństwie metodę i w Wojsławicach odkryły swój mały, niekoniecznie bezpieczny kąt u boku niewątpliwie jednej z ciekawszych postaci polskiej literatury fantastycznej.

MAJA GORGOŃ
majonezik.gorgon@o2.pl

Krupierzy własnego losu

Czy da się zarobić milion w minutę? Czy możliwe jest powtórzyć sukces Dana Bilzeriana i sprawić, by pieniądze prosto z kasyna lądowały w naszych walizkach? Wielka kasa przyciąga wszystkich, ale nie wszystkich przyciąga ciężka praca. A na to odpowiedzią jest hazard.

W 2009 roku znikąd pojawił się facet, który wygrywając swój pierwszy turniej, zgarnął ponad trzydzieści sześć tysięcy dolarów. Już kilka lat później, zainteresowany znacznie większymi pieniędzmi, zakładając się na wyścigach samochodowych, wygrał trzysta osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Dziś pięć milionów osób śledzi losy Bilzeriana, któremu udało się zbić fortunę na żetonach, ruletkach i zakładach.

Wszyscy ci ludzie, obserwujący go w Internecie, codziennie oglądają jego luksusowe samochody, ogromne wille i piękne, roznegliżowane kobiety.

– Uważam, że takie osoby, jak Bilzerian, mają po prostu dużo szczęścia. Zarabiają wielkie pieniądze w kilka minut, ale nigdy nie poczują satysfakcji z własnej pracy, a w kryzysowych sytuacjach mogą sobie nie poradzić. Nie wiem, czy warto ryzykować całym życiem dla fortuny. Niby lepiej płakać w lamborghini niż w maluchu, ale gra jest niewarta świeczki – mówi Maciej Szydłowski, uczeń XIII LO we Wrocławiu.

Sposób na życie w hazardzie znalazł także Archie Karas, który zaczynając z pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni, zyskał fortunę wartą czterdzieści milionów. Przez następne trzy lata żył jak król. Potem całość stracił równie szybko, jak zarobił. Co wówczas stało się z tym hazardzistą? Nikt nie wie, bo przecież, gdy stracił pieniądze, stracił wszystko. Nie jest w tym osamotniony. Każdy uzależniony od hazardu, milioner czy nie, stawia wszystko na jedną kartę.

W kasynach ludzie często przegrywają nie tylko forsę, ale również życie. Grają nie tylko ci, którzy chcą dojść od zera do milionera, ale również tacy, których kusi pomnażanie i tak już wielkiego majątku.

Fot. Łukasz Rosiński

Najlepszym tego przykładem jest Terrance Watanabe, amerykański biznesmen, który w ciągu dwóch lat, na fali hazardowych porażek, przegrał sto dwadzieścia siedem milionów dolarów. Sam Watanabe twierdzi, że do jego przegranej doprowadził serwowany w kasynie alkohol. Teraz jednak ten sam środek doprowadza do upadku samego gracza, który stracił wszystko, a swoją depresję topi w kieliszkach wódki.

Uzależnienie od hazardu niczym nie różni się od innych. Tak samo jak nikotyna, kokaina czy alkohol, które prowadzą do nałogu, jest w stanie zawładnąć całym naszym życiem. Tak jak narkoman walczy o każdą działkę, tak hazardzista obsesyjnie będzie sprawdzał obstawione wyniki meczu, kupował żetony i spędzał wiele godzin w salonach gier. Aż trudno uwierzyć, jak silny wpływ na człowieka może wywrzeć z pozoru niewinna rozrywka.

Te historie nie pochodzą wyłącznie z Las Vegas, nie dotyczą tylko ludzi z drugiego końca świata. Jeśli ktoś uważa, że w Polsce nie da się tak grać i tyle przegrać, jest w wielkim błędzie. Przykładów nie trzeba szukać daleko – w Ostrołęce, w 2009 roku, powstał istny raj dla polskich hazardzistów. Ten wielki salon gier codziennie obraca nieprawdopodobnie wielkimi pieniędzmi. Choć nie przychodzą tam milionerzy, to zwykli ludzie przegrywają dorobek swojego życia. O takiej tragedii na swoim blogu pisze anonimowy, były już hazardzista, który jak wielu, zaczynał od niewielkich stawek, a skończył na bankructwie. Sam nie potrafi wyliczyć, ile dokładnie stracił, ale jest pewien, że są to pieniądze rzędu kilkudziesięciu tysięcy. Teraz wie, że wraz z upływem czasu wspinał się po piramidzie długów, które pogrążały go tak, jak pogrążają każdego, kto wpada w hazardowe błędne koło. Dziś jego motto brzmi: „Wygrywasz dopiero wtedy, gdy przestajesz grać".

Do wizyt w kasynie czy salonie gier mogą nas popchnąć różne czynniki: długi, żądza pieniędzy, chęć zabawy i oderwania się od rzeczywistości a nawet zwykła nuda. Zbyt często wierzymy w scenariusze rodem z filmów takich jak „Dwadzieścia jeden", gdzie matematyczni geniusze stają się milionerami grając w black jacka. Wyłóżmy karty na stół – jest to przypadek jeden na milion, a gracz zwykle liczy na szczęście. Nie róbmy z życia rosyjskiej ruletki, grać można, ale nie za każdą stawkę.

MICHAŁ WÓJCICKI
michalwojcicki5@wp.pl

Wrześniowa rzeź niewiniątek

Minęły już dwa miesiące uczniowskiej zmory – nauki. Zeszłoroczni gimnazjaliści zdążyli rozpocząć swoją edukację w szkołach średnich. Dla wielu z nich jest to ogromne przeżycie: zmiana otoczenia, nowi znajomi, nieznani im nauczyciele. Te wszystkie czynniki sprawiają, że czują się przerażeni. Czy ciężko jest poradzić sobie w nowym miejscu? Jak zmagają się z tym inni?

– Bałam się, że z nikim się nie dogadam – mówi Gosia Paciorkowska, uczennica jednej z klas pierwszych. – Do liceum poszłam sama, nikogo uprzednio nie znając. Po pierwszym tygodniu udało mi się poznać nowych ludzi. Mam teraz mnóstwo wspaniałych przyjaciół, na których zawsze mogę polegać. Nasza klasa jest wyjątkowo zintegrowana – dodaje.

Po pierwszym miesiącu strach jest zastępowany ogromem nauki przytłaczającym większość z uczniów. Przeskok między edukacją gimnazjalną a licealną jest tak duży, że wielu pierwszoklasistów sobie z nim nie radzi. Twierdzą, że zmiana szkoły lub klasy jest najlepszym rozwiązaniem takiej sytuacji. Liczą na to, że uda im się uciec od problemu. Nie zawsze jednak ich wybór okazuje się być słuszny.

– W zeszłym roku zmieniałam szkołę trzy razy. W żadnej z nich nie czułam się komfortowo. W jednej nie odpowiadała mi atmosfera, w kolejnej nauczyciele byli zbyt surowi, a ostatnia odstraszyła mnie wysokim poziomem nauki – mówi Dominika Szuster, uczennica drugiej klasy.

Teraz, gdy jestem w Technikum Ekonomicznym, żałuję, że nie zostałam w swojej pierwszej szkole. Warto pamiętać, że początki są najtrudniejsze. Dobrze zastanówmy się nad swoimi wyborami. Czasami po prostu trzeba się przyzwyczaić do nowej sytuacji, a to nie zawsze jest proste – radzi.

Dla niektórych pierwszy rok w liceum jest szczególnie trudny. Zjada ich stres, spotykają się z brakiem akceptacji ze strony klasy, mają przez to problemy z nauką oraz aklimatyzacją. Wpadają w błędne koło, z którego ciężko jest się wydostać.

– Będąc w gimnazjum, nie miałem trudności z zawieraniem znajomości – opowiada Łukasz, tegoroczny drugoklasista. – Przez wielu byłem uważany za duszę towarzystwa. W liceum wszystko diametralnie się zmieniło. Zamknąłem się w sobie, czułem się odrzucony. Podczas gdy tworzyły się klasowe grupy, ja zostałem na uboczu, nie mogąc się do żadnej dopasować. Był to bardzo ciężki okres w moim życiu. Wiele razy myślałem o przeniesieniu się do innej szkoły, jednak nie poddałem się i postanowiłem spróbować zintegrować się z resztą klasy. Teraz bardzo dobrze czuję się tu, gdzie jestem. Cieszę się, że nie stchórzyłem i zmierzyłem się z przeciwnościami – kończy.

Pierwszoklasiści, nie bójcie się nowej szkoły! Bądźcie otwarci na nowe znajomości. Może jeszcze tego nie wiecie, ale licealne przyjaźnie mogą przetrwać do końca życia. Nie traćcie czasu na zamartwianie się, bo przecież, jak mówi Peter Kline: „Szkoła powinna być miejscem najlepszej zabawy".

KAROLINA KRUK
incompatibilegirl@gmail.com

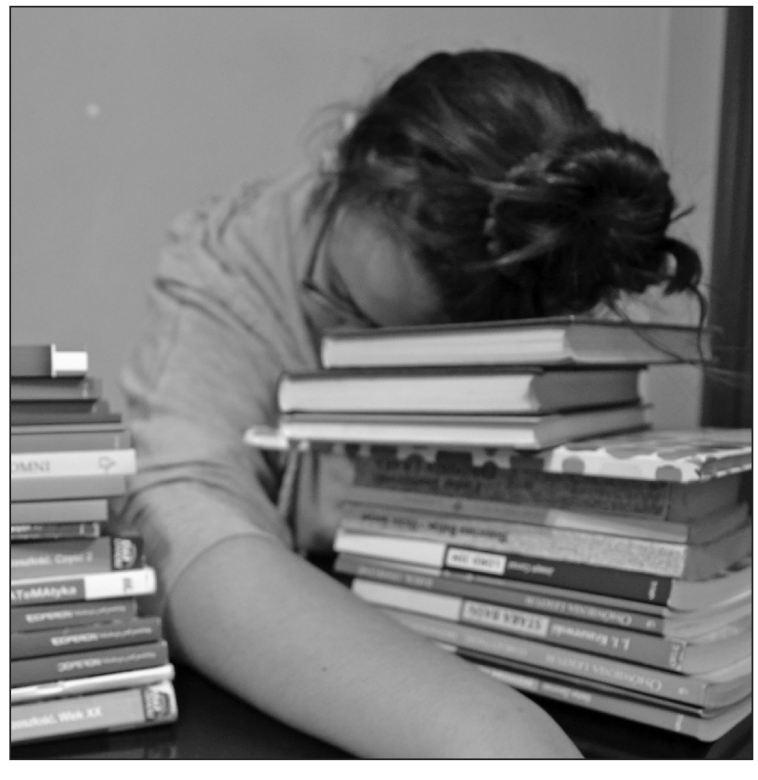

Fot. Agata Ziobro

Bo to się zwykle tak zaczyna

Rozmowa z JERZYM SKOCZYLASEM, polskim satyrykiem, członkiem kabaretu Elita, przewodniczącym Komisji Kultury i Nauki Rady Miejskiej Wrocławia

◗ Rzadko widzi się osobę kończącą Politechnikę Wrocławską na wydziale automatyki wykonującą zawód satyryka. Mówią, że to raczej humaniści idą w tym kierunku. Skąd pomysł na założenie kabaretu?

– Moim zdaniem w życiu każdego człowieka najważniejsze jest to, jakich ludzi spotka na swojej drodze. Często potrafią oni wywrócić nasze życie do góry nogami i tak właśnie było w moim przypadku. Na drugim roku studiów spotkałem Tadeusza Drozdę i Jana Kaczmarka. To oni zarazili mnie miłością do kultury. Wraz z nimi zacząłem tworzyć piosenki i skecze, co nadal sprawia mi niebywałą radość.

◗ Był czas, kiedy robił Pan coś w swoim zawodzie?

Fot. archiwum prywatne

– Byłem nauczycielem w technikum. Choć już wtedy wiedziałem, że nie jest to moim powołaniem. Potem pracowałem chwilę w Centrum Sztuki IMPART we Wrocławiu jako elektryk, nie artysta. Niektórzy nawet mówią, że instalacja, którą tam zaprojektowałem, wciąż działa, tak że mogę powiedzieć, że sukces inżynierski mam już za sobą.

◗ Ma Pan jakiś autorytet?

– Bezwzględnie jest nim Andrzej Waligórski. Pamiętam, jak słuchałem radia, a dokładniej Studia 202, nie myśląc nawet o tym, że kiedykolwiek mógłbym tam pracować, a tu proszę – zostałem kontynuatorem tej audycji. Sam Andrzej Waligórski do tej pory jest dla mnie mistrzem i mentorem. Los chciał, że to on został później członkiem naszego kabaretu. On też załatwił nam pracę w Polskim Radiu Wrocław, w którym dotrwaliśmy aż do emerytury.

◗ Co Pan lubi najbardziej? Śpiewać, grać, opowiadać kawały?

– Ogromną satysfakcję dają mi widzowie odczytujący myśl, którą chciałem im przekazać. Jeżeli są oni zadowoleni, to ja tym bardziej.

◗ Ma Pan jakiś konkretny sposób pisania piosenek? Przychodzi to Panu z łatwością, czy może jest to ciężka praca?

– Jeżeli ma się pomysły albo wenę, potrafię napisać piosenkę w ciągu jednej do maksymalnie kilku godzin. Potem trzeba ją oczywiście wyprostować i wygładzić.

◗ A dopasowanie do niej muzyki?

– Wszystko w zależności od tekstu. Ostatnio napisana przeze mnie „Ulica Fredry” jest typowo festynowa, ma szybko wpadać w ucho, być radosna i optymistyczna. Po prostu dla każdego!

◗ Jakie ma Pan plany na najbliższą przyszłość? Jakieś niespełnione marzenia?

– Myślę, że jak człowiek nie ma marzeń, to nie ma po co żyć, ponieważ są one siłą napędową każdego z nas. Ostatnio dużo się dzieje. Niedawno stworzyliśmy piosenki kabaretowe w wersji filharmonicznej, wraz z Filharmonią Wrocławską piosenki Jana Kaczmarka śpiewane przeze mnie i dwie aktorki z teatru Capitol.

◗ A skąd ta pogoda ducha i ciągły uśmiech? Czy to czyjaś zasługa?

– Nie potrafię odpowiedzieć. Po prostu taki już jestem.

◗ Co jest Panu najbardziej bliskie, patrząc pod kątem kultury, bo w końcu jest Pan przewodniczącym Komisji Kultury i Nauki?

– Zdecydowanie radio. To dla mnie sztuka wyobraźni. Słuchacz musi trochę pomyśleć, żeby zrozumieć to, co chcemy mu przekazać, bo w końcu słyszy tylko nasze głosy.

◗ Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała
MONIKA DRABCZYŃSKA
monisia9@op.pl

Trafieni strzałą Amora

Romeo kochał Julię, Tristan Izoldę, a książę Kopciuszka. Wszystkie te historie łączy jedno – tryskający zewsząd romantycznymi uniesieniami miłosny zawrót głowy. I dzisiaj zdarzają się uczucia rodem z bajki, jednak panowie, zamiast szukać właścicielek ślicznych pantofelków, szukają profili na Facebooku.

Motylki w brzuchu – fraza, której sens zna chyba każdy. Wszyscy, prędzej czy później, je poczują i zrobią wiele, by owe stworzonka nieprędko opuściły swoje miejsce.

Naszym babciom chłopcy przynosili bukieciki z polnych kwiatów, nasze mamy zapraszane były przez swoich wybranków na romantyczne spacery, a jak jest dzisiaj?

– Oklepane, schematyczne randki zupełnie mi się przejadły! – mówi szesnastoletni Damian, uczeń Gimnazjum nr 7 we Wrocławiu. – Uważam, że najlepiej jest je organizować tak, by zaskakiwać tę drugą osobę, sprawiać, by czuła, że jest wyjątkowa, dlatego pomysł na randkę musi być nietuzinkowy.

Fot. Karolina Kruk

Damian na takie właśnie miłosne schadzki ma wiele planów: zabawa na torze kartingowym, rozgrywki paintballowe, a nawet wspólny skok na bungee. Nie da się zaprzeczyć, że u większości osób te spotkania mogłyby wywołać nagły skok adrenaliny, niekoniecznie związany z obecnością ukochanej osoby. Na pytanie, skąd u niego taka wena do wymyślania kolejnych niezwyczajnych randek, Damian odpowiada zwięźle: – Po prostu wiem, co lubią dziewczyny.

Nieco inne zdanie na ten temat ma Marta, siedemnastoletnia uczennica Zespołu Szkół Plastycznych we Wrocławiu.

– Dobra randka to taka, podczas której czujemy się swobodnie. Nie każdy nadaje się do próbowania swoich sił w sportach ekstremalnych, nawet w towarzystwie swojej sympatii, a przecież to bardzo niemiłe odmawiać zaplanowanej starannie randki. Dlatego uważam, że najlepiej jest pozostać przy klasycznej wersji i na przykład wybrać się do kina – mówi.

Wiele osób uważa podobnie, dlatego tym bardziej zadziwia cała paleta pomysłów na szalone spotkania we dwoje, z jakimi możemy się spotkać. Na jednym z forów internetowych propozycje dla zakochanych brzmią: „Przebierzcie się za superbohaterów i urządźcie sobie w centrum miasta randkę rodem z Marvela” albo „Przejdźcie się po mieście i zagrajcie kilka niemych, miłosnych scenek przed kamerami ochrony”. Chyba tylko nieliczni odważyliby się na tak nietypowe spędzanie czasu ze swoją drugą połówką. Szkoda, bo widok zakochanych, marvelowskich postaci w środku szarego miasta mógłby być naprawdę sympatyczny.

Zgadza się z tym Olivia, dziewiętnastoletnia mieszkanka Wrocławia: – Niezwyczajne randki są świetne, sama chętnie przeżyłabym taką. Do tej pory miałam okazję tylko raz odbyć ze swoim chłopakiem szalony rajd motocyklowy. Z pewnością będę miała o czym opowiadać wnukom, ale na pewno nie babciom. Jedna z nich, gdy dowiedziała się, jak spędziłam dzień ze swoim chłopakiem, zareagowała tak wielkim oburzeniem, że wprost trudno uwierzyć – mówi. – Opowiadała mi o swoich romantycznych spacerach, ukradkowych uściskach dłoni ze swoim wybrankiem i nie mogła uwierzyć, że jako dziewczyna, która z natury powinna być eteryczną romantyczką, godzę się na coś takiego – kończy.

Argument, że czasy się zmieniły i teraz bawimy się, a nawet kochamy, inaczej, rzadko przemawia do naszych rodziców i dziadków. W latach swojej młodości utrwalili sobie model idealnej randki, opierającej się na zupełnie innych atrakcjach. Nie należy mieć zatem do nich pretensji, że to właśnie swoje miłosne spotkania uważają za najlepsze, a dawkę krytyki związanej z nowoczesnymi randkami, które tak lubimy, znieść raczej z uśmiechem niż ponurym grymasem. Za kilkanaście lat to my będziemy z sentymentem wspominać swoje pierwsze miłości, a kto wie, z jakich strzał będzie wtedy strzelał Amor?

PAULINA PIOTROWSKA
paulina.piotrowska@gmail.com

SZLIF ZAPRASZA
kino | nowe horyzonty

Warto obejrzeć

Największym hitem października śmiało możemy uznać „Egzorcystę”. Ten horror wyprodukowany w 1973 roku otrzymał aż dziesięć nominacji do Oscara, zgarniając nagrodę za najlepsze udźwiękowienie.

Fanom filmów wojennych oraz miłośniczkom Brada Pitta polecamy film „Furia”. Wśród dramatów znajdziemy „Kapitał ludzki”, „Klub Jimmy’ego” oraz polskie dzieła „Huba” i „Zbliżenia” z Joanną Orleańską w roli głównej. Warto też zwrócić uwagę na „Zimowy sen” wyróżniony w Cannes Złotą Palmą.

Nastolatkom zapewne przypadnie do gustu „We are the Best” pokazujący ich rówieśników walczących o spełnienie marzeń. Wisienkę na torcie stanowi „Pieskie życie” z wybitnym Charlesem Chaplinem w roli głównej.

Młodzi strzelcy

3 października dwie reprezentacje miesięcznika „Szlif” wzięły udział w XXXIII Mistrzostwach Strzeleckich Dziennikarzy. Zawody odbyły się na strzelnicy WKS Śląsk we Wrocławiu przy ul. Świątnickiej. Uczestnicy rywalizowali zespołowo oraz indywidualnie w dwóch konkurencjach: strzelanie z pistoletu pneumatycznego i kbks.

Zawodników po ciężkich zmaganiach ugoszczono grochówką, kiełbasą oraz krupniokiem z grilla. Gościem honorowym była dwukrotna mistrzyni olimpijska w strzelaniu Renata Mauer-Różańska, która w młodości ćwiczyła na wrocławskiej strzelnicy.

W klasyfikacji zespołowej pierwsza drużyna w składzie: Justyna Skalska, Miłosz Wiciński i Mikołaj Stanisławski zajęła 4 miejsce, a druga w składzie: Julia Płotek, Justyna Strzebak i Michał Karbowiak – 16. Każdy z uczestników otrzymał nagrodę wybraną przez siebie.

Młodzi dziennikarze mają nadzieję, że w przyszłym roku uda im się wygrać puchar XXXIV Mistrzostw Strzeleckich Dziennikarzy.

Sportowa szlifierka

Wodny spektakl

Taniec w wodzie, muzyka, piękne stroje, fryzury i makijaż. Pływanie synchroniczne to sport, który wyraża emocje zawodniczek oraz zadowala kibica, który z chęcią przygląda się występom.

Sport jest jedną z najczęściej spotykanych form rozładowania napięcia. Niektórzy, aby złagodzić frustrację, uprawiają boks, inni zaś wolą przepędzić swoje uczucia w biegu. Jednak dyscypliną, w której oprócz ciała pracuje również psychika, jest pływanie synchroniczne.

– Zawody nie stresują mnie, ewentualnie przed samym startem czuję pobudzający przypływ energii. Zamiast się denerwować, koncentruję swoją uwagę na tym, co mam zrobić. Przed konkurencją wyższej rangi odczuwam presję, która mobilizuje mnie do działania – mówi Hanna Hurkot, trenująca od czternastu lat pływanie synchroniczne w Akademickim Związku Sportowym Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu.

Mimo że ta dyscyplina sportu nie jest zbyt popularna w Polsce, ma swoich entuzjastów. Potrafią oni docenić jej urok i znaczenie artystyczne, istotę każdego, doprowadzonego do perfekcji, elementu. Tancerki wodne nawet najmniejszy ruch wypełniają całą gamą emocji, co w połączeniu z idealnie dobranymi strojami i muzyką tworzy coś, co stanowczo zasługuje na miano sztuki.

Fot. Sabina Matejko

– Precyzja wykonania zadowala publiczność, która z chęcią powraca na trybuny. Basen jest pewnego rodzaju deską teatru, w którym odgrywany jest spektakl – uważa Paulina Garncarek, wieloletnia fanka pływania synchronicznego.

To, co widzimy, jest efektem ciężkiej pracy, licznych treningów, wylanych łez i potu. Niewielu z was pewnie myślało o głębszym znaczeniu pływania synchronicznego, jak i o ładunku emocjonalnym, jaki niesie ze sobą ta dyscyplina. Wodny balet daje nieograniczone możliwości pozwalające pokonać własne ograniczenia, ponadto w pełni oddaje emocje i uczucia. Drzemią one w każdym z nas, dlatego warto szerzej otworzyć oczy, a wtedy niejedno widowisko nabiera nowych znaczeń.

NATALIA ORLIK
natalia1303
@amorki.pl

Felieton Szlifu

Kulawa historia

Po co mi to wiedzieć? To pytanie gościło nieraz w głowach uczniów strapionych nauką bezsensownych faktów. Iście filozoficzne zagadnienie najczęściej nasuwa się samo, kiedy do sprawdzianu zostało kilka godzin, zapisane notatki zajmują pół zeszytu, a wszystko to na przemian: daty i nazwiska...

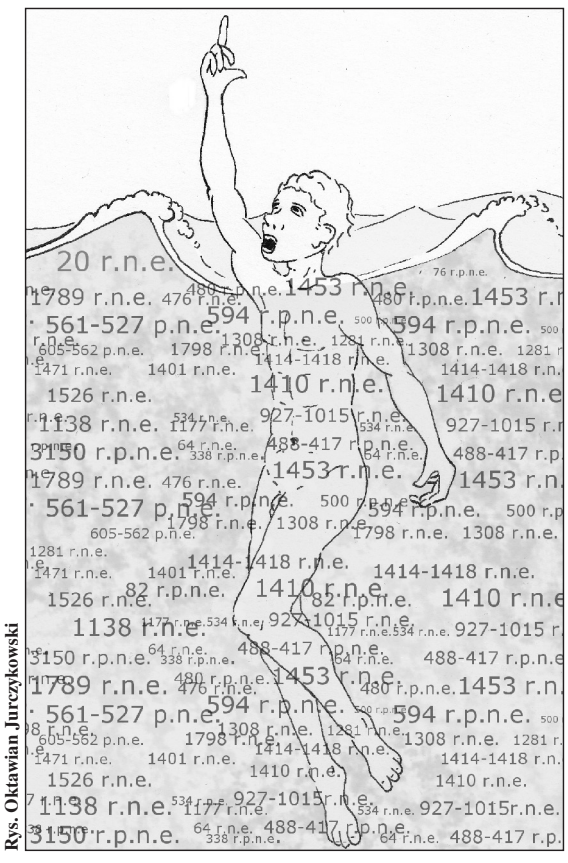

Rys. Oktawian Jurczykowski

Wbrew pozorom, historii nie uczy się, żeby dzięki zdobytej wiedzy wygrać teleturniej, czy też stworzyć post na stronę z wiedzą bezużyteczną. Idea jest dużo szlachetniejsza. Poznając błędy przeszłości, możemy uniknąć popełnienia ich w przyszłości. Dlatego właśnie jest to przedmiot tak ważny.

Sporo osób kojarzy swoją przygodę z tą nauką jako bezsensowne wkuwanie dat, przyjemnością porównywalną z czytaniem książki telefonicznej. Wśród natłoku liczb i nazwisk zapomina się o meritum, czyli wydarzeniu, jego przyczynach, przebiegu oraz skutkach. ZAPOMINA SIĘ O SAMEJ HISTORII, co całą jej naukę czyni bezsensowną. Zbiór liczb, choćby wykuty na blachę, nieużywany zostanie zapomniany. Często szybciej niż mogłoby się wydawać. Co innego barwne opowieści o dziejach z poprzednich epok. One potrafią zagnieździć się w ludzkiej pamięci na wsze czasy. Analiza tychże historii, ocena poszczególnych kroków, patrzenie na nie z różnych punktów widzenia – o to chodzi w nauce historii. To właśnie takie działania pozwalają ją zrozumieć, zdobyć umiejętność politycznego myślenia i wyprzedzania zdarzeń.

– Najciekawsze w historii jest uczenie, że nie ma idealnych postaci. Kościuszko był bohaterem. Proszę sprawdzić, pod jakim warunkiem wypuszczono go z niewoli? Czego zażądał od Napoleona Bonaparte? Jak zakończył życie? Czy wszyscy wtedy nazwą go bohaterem? Najczęściej pewne jest tylko wydarzenie i data. Jak to ocenić? Gdzie szukać przyczyn? Odpowiedzi jest wiele, ale wiedzę sprawdzamy testem, czyli na poziomie gimnazjum może to przybrać postać totolotka. Osoby o szerokiej wiedzy, znające niuanse historii, często wybierają źle. Bo historia to ludzie, oceny przyczyn i skutków, nawet wersje wydarzeń mogą być różne – tłumaczy Dorota Dobrzyniecka, nauczycielka tego przedmiotu.

Dlaczego mało który nauczyciel stawia zadania wymagające myślenia, a nie tylko znajomości faktów? Problemem jest podstawa programowa. Pomaga ona uczniom i nauczycielom w przygotowaniu się do egzaminów, ale brakuje w niej czasu na analizę i refleksję nad wydarzeniami. I wcale nie chodzi o dodatkowe godziny spędzone w klasie, ale o umiejętne wykorzystanie tego czasu. Nie jest to możliwe, kiedy terminy gonią.

SARA NIEWIEJSKA
niewiejko@gmail.com

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

26 września aula XIII LO wypełniła się pięknymi dźwiękami, a to za sprawą gościa Wszechnicy – Marty Sokołowskiej, trenerki wokalnej ze szkoły muzycznej Voice On. Opowiadała nam ona o swojej pracy, przedstawiła różne techniki śpiewu i emisji głosu. Mieliśmy również przyjemność poznania jej nadzwyczajnych wokalnych możliwości. Na przykładzie kilku fraz z utworów usłyszeliśmy, jak niesamowitą skalą głosu posługuje się pani Marta.

3 października spotkanie nietypowo odbyło się w Kuraszkowie, gdzie młodzi adepci sztuki dziennikarskiej brali udział w tradycyjnym już obozie. Podczas wyjazdu jak zwykle odbyły się gry integracyjne oraz warsztaty, w czasie których szlifowaliśmy swoje umiejętności. W czasie obozu powstało wiele artykułów, a uczestnicy – uczniowie klas dziennikarskich – poznali się lepiej.

10 października gościem Wszechnicy była Irena Kamińska – pełnomocniczka Kongresu Kobiet, prezeska Stowarzyszenia Dolnośląski Kongres Kobiet. Wyjaśniła nam, w jakich okolicznościach powstał ten ruch społeczny i jakie są jego cele. Są nimi przede wszystkim równouprawnienie, walka ze stereotypami i zaangażowanie kobiet w politykę. Ze strony uczestników Wszechnicy padło wiele pytań; m.in. został poruszony problem gender, dyskutowano o tym, czym jest feminizm i równouprawnienie.

Polub nas na:
facebook.com/szlif.lo13

Szlif
Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

Adres redakcji: ul. Haukego-Bosaka 33, 50-447 Wrocław; www.lo13.wroc.pl; szlif13@gmail.com

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu, pod patronatem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Dolny Śląsk

Opiekun:	**Wojciech Chądzyński**
Przewodnicząca MWD:	**Paulina Piotrowska**
Z-ca przewodniczącej MWD:	**Łukasz Rosiński**
Redaktor naczelna:	**Sara Niewiejska**
Zastępca red. naczelnej:	**Maciej Szydłowski**
Sekretarz redakcji:	**Agata Udała**
Szefowa fotoreporterów:	**Agata Ziobro**
Korekta:	**Marta Mianowska, Weronika Herold, Maja Gorgoń**
Przygotowanie do druku:	**I-BiS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. 71 342 25 17, www.i-bis.com.pl**

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

MWD

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.00 do XIII LO przy ul. Haukego-Bosaka 33.